

Po szwajcarskim „nie” strefa Schengen trzeszczy w szwach



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Postanawiając renegocjować układ o swobodnym przepływie osób i dóbr, Szwajcarzy wypowiedzieli się przeciwko narzuconej przez UE polityce imigracyjnej. Może to stworzyć ważny precedens.

Szwajcaria od 2005 r. była członkiem strefy Schengen, choć nie należała do UE. Dziś, kiedy co piąty Szwajcar jest imigranem, ten mały kraj postanowił coś w swojej polityce zmienić. Dlatego w sobotnim referendum Helweci opowiedzieli się za wprowadzeniem limitów liczby przyjmowanych imigrantów. Będzie to, naturalnie, oznaczało potrzebę renegocjacji traktatów z Unią.

Berlin i Bruksela zareagowały co najmniej chłodno. Niemcy, których przyciągają niskie podatki i praca, stanowią wszak największą grupę wśród szwajcarskich imigrantów (ok. 300 tys.). Martin Schulz (eurodeputowany SPD) stwierdził, że Szwajcaria nie może unieważniać traktatów międzynarodowych i że będzie to miało dla niej poważnie ekonomiczne konsekwencje; towary z metką „made in Switzerland” nie będą bowiem już miały wolnego wstępu na wspólnotowy rynek. Wtórował mu Wolfgang Schäuble, niemiecki minister finansów, który przewiduje, że referendum przysporzy Szwajcarii wielu problemów.

Zurych podchodzi jednak do tych gróźb z dystansem. Nie wiadomo jeszcze, jakie konkretne kwoty zostaną wprowadzone, a Szwajcaria na renegocjację umów z UE ma trzy lata, w ciągu których wiele się jeszcze może zmienić. Co więcej, Szwajcarów gospodarczą katastrofą straszono już po referendum w 1992 r., kiedy to zdecydowali nie wstępować do Unii. Cóż, dziś Szwajcaria ma prawie czterokrotnie niższe bezrobocie niż średnia unijna, a gospodarka rozwija się w tempie 1,9 proc. rocznie, podczas gdy unijna wciąż się nieznacznie kurczy.

Nie wiadomo też, czy strefa Schengen przetrwa najbliższe eurowybory. Liderzy Szwajcarskiej Partii Ludowej (SVP) zebrali wszak wyrazy uznania od działających wewnątrz UE eurosceptyków, których partie zyskują coraz większe poparcie. Szwajcarów chwalili m.in. Marine Le Pen, przewodnicząca Francuskiego Frontu Narodowego, Geert Wilders z Holenderskiej Partii Wolności (PVV), a także politycy noszącej analogiczną nazwę partii austriackiej (FPÖ). Wiadomo również, że

ograniczenia imigracji chcą wprowadzić brytyjscy konserwatyści. Z jeszcze bardziej radykalnymi hasłami idzie zaś do wyborów Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKiP), która chce z Unii po prostu wyjść.

Należy jednak pamiętać, że zachodzi tutaj ciekawe zjawisko kampanii, podczas której polityczna poprawność nie pozwalała otwarcie używać wszystkich zakładanych implicite argumentów. Na jednym z plakatów używanych podczas szwajcarskiego referendum widzimy np., jak po czerwone paszporty z białym krzyżem sięgają różnokolorowe ręce. Tak daleko zdecydowano się posunąć, uderzając w politykę multikulturowości, cała debata nie wyszła jednak poza pewne politycznie akceptowalne ogólniki.

Jest jasne, że wiele starzejących się państw europejskich chętnie przyjmie wykształconych i aktywnych zawodowo imigrantów, tak jak czynią to dziś Niemcy w stosunku do młodych Hiszpanów. Państwa przyjmujące chciałyby jednak, aby ich nowi obywatele byli łatwi do zasymilowania, kompatybilni kulturowo. Tymczasem wiele osób posiadających np. paszport niemiecki czy włoski, a potem osiedlających się w Szwajcarii, to muzułmanie. W 8-milionowym kraju jest ich już blisko 400 tys., w niektórych szkołach islamskie dzieci stanowią zaś już większość uczniów. Plakaty wykorzystane w antyimigracyjnej kampanii do złudzenia przypominały inne z referendum, które w 2009 r. zakazało w Szwajcarii budowy minaretów. Było na nich wtedy widać kobietę w burce, w tle zaś ze szwajcarskiej flagi wyrastały minarety.

Nawet dla radykałów na razie jest jednak nie do pomyślenia wprowadzenie imigracyjnej kwoty tylko dla muzułmanów, a dla chrześcijan i żydów już nie. To wy-

magaloby bez mała rewolucji światopoglądowej. Liberalną ideę multikulturowości łatwiej jest bowiem krytykować w ogólnikach, niż odrzucić w praktyce. W faktycznej debacie o imigracji znacznie wygodniej jest oprzeć się na podsycanych przez kryzys argumentach natury ekonomicznej. Bardzo podobnie premierowi Davidowi Cameronowi łatwiej jest mówić o Polakach rzekomo wyludzających zasiłki, niż narażając się na oskarżenia o nietolerancję, powiedzieć coś o podpalających samochody imigrantach z Afryki.

Szwajcarów gospodarczą katastrofą straszono już po referendum w 1992 r., kiedy to zadecydowali nie wstępować do Unii Europejskiej. Cóż, dziś Szwajcaria ma prawie czterokrotnie niższe bezrobocie niż średnia unijna

Jeszcze w 1924 r. USA wprowadzały zupełnie oficjalnie kwoty imigracyjne w oparciu o kryterium kulturowo-etniczne, limitując napływ uchodźców z pewnych obszarów świata bardziej niż z innych. Dziś podobne działania byłby nie do pomyślenia. Niedawno jednak sprawa braci Carnajew boleśnie przypominała Amerykanom dość dotkliwie o zagrożeniach związanych z imigracją z krajów muzułmańskich. Równocześnie amerykańscy pracodawcy z branż o wysokim poziomie

zaawansowania technologicznego chcą, aby ułatwić osiedlanie się w Stanach najzdolniejszym pochodzącym z zagranicy absolwentom wyższych uczelni. Mimo to nikt nie kwapi się reformować niezwykle skomplikowanego i miejscami nielogicznego prawa imigracyjnego. Z planów zmian rakiem wycofali się ostatnio Republikanie, bez których nie ma on szans na sukces.

Na świecie wyraźnie zbiega się dziś kryzys gospodarczy i trwający już od dawna kryzys multikulturowego liberalizmu. Prowadzi to do zrozumiałych obaw rozmaitych społeczeństw. Szwajcarskie „nie” dla Schengen w aktualnym kształcie to ważny głos, który może rozpocząć paneuropejską debatę o imigracji. Wciąż jednak trudno powiedzieć, jaka Europa się z takiej debaty wyłoni.